

Janusz Ramotowski

część X z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **02.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,
część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Panie Januszu, na zakończenie chciałbym, żeby Pan jeszcze o tej swojej działalności opowiedział trochę przez pryzmat rodzinny i opowiedział trochę o nastawieniu i o pozycji w Pana działalności, jeżeli chodzi o Pana żonę. Troszkę opowiedział o niej.

Janusz Ramotowski: Nieszczęściem tej kobiety było to, że mnie poznała. Mogło być zupełnie inaczej. Poznaliśmy się, tutaj wisi na ścianie plakietka z Rajdu Kurdesz, 23 kwietnia 1971 r. Tam żeśmy się poznali i tak to poznanie zostało po dzisiaj. Chyba się czuliśmy razem dobrze, skoro żeśmy wzięli ślub, skoro jesteśmy razem. Po raz pierwszy chyba moja żona zrozumiała mój charakter, kiedy wywalczyłem mieszkanie. Wywalczyłem po długich bojach, zaczepiając się o Komitet Centralny PZPR. Na koniec to mieszkanie wywalczyłem. Mieszkaliśmy w takiej lepiszce na Marymoncie, którą mój teść postawił obok ruin domu, w którym mieszkali przed wojną. Ten dom został spalony w czasie Powstania. Tam postawił lepiszkę, my w tej lepiszce mieszkaliśmy, ale te warunki były straszne, były potworne po prostu. Po wodę biegałem 50 m w m.st. Warszawa itd. Nieważne. W każdym razie w którymś momencie łucja się już urodziła, trzeba było o mieszkanie. Rozpocząłem walkę, ta walka mi się udała. Dostaliśmy mieszkanie na Wawryszewie. Weszliśmy zobaczyć to mieszkanie, ja się popatrzyłem po tych murach, a moja żona zadała mi pytanie: „I co żeś teraz wymyślił? Przecież to mieszkanie już Cię nie interesuje”. I to była szczerza prawda. Akurat był temat skończony, zamykamy sprawę, coś będzie. Mówię: „Nie wiem, wiesz, Broniu, nie wiem, ale coś się wymyśli”. To, że ja byłem już wcześniej zaangażowany w jakieś tam ruchy przeciwko, ona wiedziała o tym, ale to ją dotyczyło tyle, co dotyczyło. To znaczy ja jej nigdzie tam nie ciągałem, ona nie miała z tego tytułu żadnych tych. To też jest dziwne. W 1969 roku próbowaliśmy zmienić ustrój, smarując plakaty wyborcze w Otwocku we trzech. Czas jakiś później, już nie pamiętam, który to prezy-

dent przyjeżdżał do Polski, Stanów Zjednoczonych. Taki samochodowy, albo Ford, albo Carter. Albo cały samochód, albo kawałek samochodu, nieważne. Przyjeżdżał prezydent Stanów Zjednoczonych do Polski i zostałem wezwany na bezpieczną w Otwocku na rozmowę. Zostałem wezwany, to poszedłem. Wyciągnęli jakąś taką potwornie grubą teczkę. Przecież to musiała być pocięta gazeta, a grubość miała mnie onieśmielić. Tam zaczął pogadywać, a ja przez kogoś się dowiedziałem, że będą takie rozmowy i że celem tych rozmów jest, żeby nas poprosić, żebyśmy byli spokojni, żebyśmy tam jakichś głupot nie narobili w czasie tej wizyty. Więc ja byłem przygotowany do tego, co się ma stać dalej. I on tam zaczął ze mną pogadywać na różne luźne tematy. I w którymś momencie: „A bo w Otwocku jakoś tak rzadziej bywacie”. „Bo rzadziej bywam, bo rzadziej bywam. Pracuję w Warszawie i częściej jestem w Warszawie”. „O, pracujecie, to pracujecie, ale jeszcze dziewczynę macie w Warszawie”. I tam przewijał te papiery. I wszak się nie mylę. „Pani Bronisława Matusiak, zamieszkała w Warszawie, Gdańska 39”. I tu mnie szlag trafił. W jaki sposób? Jaka cholera i po co? Po co im? Po co ktoś? Chyba że lezie za mną, ale to w ogóle nie wyobrażam sobie, żeby za takim gnojem jeszcze tam gdzieś chodzić po całym mieście. Ktoś musiał powiedzieć, ktoś musiał powiedzieć o mojej przyszłej żonie. Szlag mnie trafił. Mówię: „Tak, zgadza się. A w ogóle w jakim charakterze my tu rozmawiamy? Jestem przesłuchiwany czy jak to?” „A nie, tak chcieliśmy porozmawiać”. „A to się dobrze składa, bo ja z panem nie chcę rozmawiać”. Wstałem i wychodzę. Już przy drzwiach byłem i on w rozpacz ostatniej: „A, słuchajcie, wiecie, że przyjeżdża prezydent Stanów Zjednoczonych do Polski?”. Ja mówię: „Wiem”. „I co, wy idziecie witać?” „Nie wiem, może”. „Słuchajcie, mam do was wielką prośbę, rzućcie w niego jakimś kamieniem czy co”. „Panie, panu się pomyliło, komunistów przesłuchujcie”. „A no może racja, może racja”. Więc to takie było zdarzenie, poza tym moja pani tam dzielnie uczestniczyła, a przynajmniej życzliwie tolerowała jakieś tam takie różne moje przygłupy i wybryki. Na pewno jak rozpoczęła pracę w tym zespole szkół zawodowych, to ten dyrektor ją na te, a najpierw chciał ją do partii zapisać. Ona powiedziała, że ona się nie może zapisać do partii. „A dlaczego Pani nie może?” „Ponieważ, szanowny Panie, mój mąż mi nie pozwala. Jeżeli ja się zapiszę do partii, to mój mąż weźmie ze mną rozwód. A dla mnie życie rodzinne jest ważniejsze niż wasza partia”. Ona w tej atmosferze sobie jakoś tam żyła i to było fajne, dopóki ten cały stan wojenny się nie rozpoczął. W dalszym ciągu te początki, przynajmniej dla niej też, zresztą dla mnie też nie, to wyglądało, to było malownicze, ale to jakoś we mnie takiego strachu nie budziło, w związku z tym ten strach w domu też nie istniał. Któregoś razu wracam do domu i widzę, że moja pani siedzi i płacze. Myślałem, coś się stało w rodzinie, może ktoś umarł, czy co. „Nie, nie, tu w telewizji pokazywali, wiesz, to taki człowiek, co 3 dni temu był tutaj u nas w domu”. To był Adam Karwowski tam z kręgu. Mówię: „No wiem, Adama zamknęli”. „No tak, dzisiaj jego, jutro ciebie”. „No może nie, spokojnie, kobito. Nie wszystkich tak będą zamykać. Może się uda”. Ale wtedy zrozumiałem, że ona już żyje w strachu jakimś, w takim napięciu. Jak już te transporty ruszyły na poważnie, to poprzez sławną Magdę Ruszkowską ja podpisałem u św. Marcina upoważnienie in blanco na adwokata. I ten kwit leżał tam u św. Marcina. I w razie gdyby mnie tam gdzieś zwinęli, to ona miała udać się do św. Marcina, wymówić hasło, jak to zwykle bywa, „przychodzę w sprawie miasta Kłodzk”, to pamiętam do dzisiaj. Wtedy ja dostaję adwokata, adwokata rozsądnego, a nie wiem kogo. No i św. Marcin, plus oni są pod jakąś tam opieką. Tylko że trzeba było jej to powiedzieć. Znowu kiedy. Czekałem, żeby jakoś tak spokojnie było. Nikogo nie zamykali, jakoś tam się nic nie działo. Zaczęłem jej to opowiadać, znowu zaczęła ryczeć i to ryczeć, płakać, a płakać, a płakać. Po prostu bała się. Z drugiej strony przecież a na te kwity do tej Ewy Kulik nosiła do tego domu i z powrotem. W tym strachu. Ale jednak nosiła. Myślę, że się bała, nic innego. Muszę zapytać, czy się bała. Ale znowu mi nagada o mnie różnych rzeczy, może lepiej nie pytać. W każdym razie ona się bała, bała się, co to będzie, jak nastąpi wpada. Bała się o rodzinę,

bała się o dzieciaki. Może o mnie, bo to chyba najpierw się boimy o innych. Tak że ona była bardzo zadowolona, ale strasznie odchorowała też tę podróż, była taka zupełnie poza tym światem, jak żeśmy już w tym Paryżu się znaleźli. Takie to są to losy kobit. Niestety. Mój ojciec miał dostarczyć broń do Łomży, ponieważ w tej Łomży znalazł się w więzieniu właściwie prawie że cały obwód łomżyński Armii Krajowej. Organizowano ich ucieczkę z więzienia.

Artur Kłus: Który rok?

Janusz Ramotowski: To był rok 1942 chyba, bo później „Bruzda” był w Augustowskim, później wrócił, w 1942 pewnie, można sprawdzić. Ojciec był tam, powiedzmy, się prezesem Rejonu to nazywało, więc, powiedzmy, to tam teren gminy mniej więcej. Trochę tej broni tam było pomagazynowanej i tej trochę broni krótkiej należało dostarczyć do tej Łomży. To ojciec zaczął wsadzać tam te pistolety za pasek, że on do tej Łomży będzie leciał z tymi pistoletami. Matka się wściekła, mówi: „Człowieku, nie doniesiesz”. Tam przechodzi się przez Narew. I jest most, który był kontrolowany 24 godziny na dobę, były posterunki. Mama poszła z tą bronią, ale poszła z koszykiem owoców, warzyw, tam jakichś różnych rzeczy, a na spód upychała te pistolety. No i przeszła, przeszła. Żandarmi zatrzymali oczywiście. Chwycili ten koszyk, więc mama im wytłumaczyła, że to są jabłka z jej ogrodu, niesie je na sprzedaż, bo trzeba z czegoś żyć, ale dobre są te jabłuszka, smaczne niezwykle, to sobie weźcie po jabłuszku. To wzięli po jabłuszku i mama tę broń doniosła. Takie to są koleje losu.

Artur Kłus: Panie Januszu, jeszcze jedno pytanie, jakby Pan opowiedział o pewnej Pani Luizie.

Janusz Ramotowski: O Pani Luizie? Ojej.

Artur Kłus: W jakich okolicznościach Pan ją spotkał i kim ona była?

Janusz Ramotowski: W jakich okolicznościach spotkaliśmy Panią Luizę, to ja sobie nie przypominę. Jest najbardziej prawdopodobne, że Pani Luiza spotkała nas. Bo to raczej działało w tę stronę. Ona na wszystkie przyjazdy nowych ludzi chyba czekała nawet. W każdym razie było wiadomo, że jeżeli nowi ludzie przyjeżdżają, to Pani Luiza gdzieś tam musi z nimi kontakt nawiązać, żeby się dowiedzieć, a co trzeba, a jak trzeba itd.

Artur Kłus: Mieszkała w Paryżu?

Janusz Ramotowski: Nie, nie. Ona mieszkała koło Miluzy, powiedzmy, w Miluzie, generalnie rzecz biorąc. My żeśmy się poznali z Panią Luizą. Nasze kontakty z nią były kontaktami iście towarzyskimi, ale była to kobieta bardzo silnie zaangażowana w życie polonijne i w pomoc tym, którzy jej akurat potrzebowali, była gotowa do wszelkich działań zawsze. Później jak poznałem życiorys Pani Luizy, odbywały się tam różnego rodzaju święta, kolacyjki, wieczorki, diabli wiedzą co. Często słuchałem też Pani Luizy, która też opowiadała o sobie, że ona była Alzacką z urodzenia, to nie wiedziałem. Ja myślałem, że ona była autentyczną Polką. W każdym razie opowiadała o tych różnych historiach głównie z tymi jeńcami wojennymi, ponieważ w momencie wojny francusko-niemieckiej, 1940 rok jednak, trochę później się to zaczęło niż u nas, w okolicach Miluzy, w samej Miluzie, w okolicach Miluzy w Colmar było sporo obozów

jenieckich. I to obozów jenieckich i polskich, i francuskich, bo na tym terenie walczyła 2 Dywizja Strzelców Pieszych, nasza polska. Więc Ci Polscy jeńcy też byli, ona organizowała pomoc dla tych jeńców. I o tej pomocy opowiadała wiele, wiele rzeczy. Później o tym, co się działo później, wiedziałem. W którymś momencie, walcząc o odznaczenia dla jeszcze 3 nieodznaczonych, powiedzmy, z transportów, byłem u Romaszewskich. I w luźnej rozmowie opowiedziałem o Pani Luizie. Opowieści o tym, o tamtym, o winach, gdzie lepsze wina. Okazało się, że jednak Romaszewski potrafi dotrzeć do lepszych win niż moje. On z Gruzji ściągał wina i to znakomite, genialne te wina były. W każdym razie przy tym winku, przy tych opowieściach opowiadałem o Pani Luizie. Zosia powiedziała, że chętnie ją weźmie do odznaczenia, a jednocześnie przy okazji przepchnie sprawę tych moich ancymonów, co było jasne, że to robimy po prostu. Później, ponieważ nie byłem pewien, czy Pani Luiza nie fantazjuje, a kto ją wie, w domu u niej, pojechałem do domu specjalnie po to, jeszcze z innym człowiekiem też, takim solidaruchem. I w luźnej rozmowie znowu zapytaliśmy, czy ona ma jakieś pamiątki z tamtych czasów. Okazało się, że jest tego mnóstwo. Przede wszystkim listy, listy żołnierzy polskich dziękujących za pomoc. Listy żołnierzy francuskich, wezwania na Gestapo, które przechowała do dzisiaj, etc., wycinki z prasy, bo np. po wojnie sprawa, że ona przeprowadziła generała Giraud przez francusko-szwajcarską granicę, to było opisywane w prasie, tylko nie było dalszego ciągu w postaci odznaczenia dla niej. Więc było jasne, że ona to wszystko zrobiła. I została oznaczona, to jeszcze Lech Kaczyński podpisał jej odznaczenie, oficcerski dostała Order za zasługi. W międzyczasie wydarzyło się to wszystko, co się wydarzyło. I wręczał już odznaczenia Komorowski. Pani Luiza, mimo że ze zdrowiem nie bardzo i lata nie ku temu, zjawiała się z wnuczką w Polsce, żeby to odznaczenie przyjąć. W Pałacu Prezydenckim to się odbywało. Ja przez przypadek, i to mniej szczęśliwy, byłem tutaj, bo właśnie umarła moja mama, ale znalazłem moment, żeby tam pójść, towarzyszyć jej w tym oznaczaniu jej. Niestety, ale Pani Luiza bardzo szybko później umarła. Miała nam wystawić kolację, kolacyjkę mieliśmy zrobić dziękczynną, ona nawet już porozstawiała sztucce, talerze, stół był przykryty. Wszystko było zrobione na tę sobotę. Robiła zakupy na tą sobotę. W czwartek przed tą sobotą zrobiła zakupy. Podjechała pod dom i z samochodu już nie wysiadła. Była to niezwykle zaangażowana kobieta. I ona to robiła bez żadnego, nie wiem, w tym nie było ani jakichś chęci materialnych, zresztą nie bardzo sobie wyobrażam, jak na tego typu działalności można jeszcze pieniądze gdzieś zrobić, ani też jeżeli chodzi o sławę. Ona była naprawdę spokojna, skromna kobieta, która się nigdzie nie wypychała. Tyle że była zawsze tam, gdzie jest potrzebna, w związku z tym znaty ją władze Miluzy, tak jak opowiadałem, znaty ją również konsulat szwajcarski np. I myślę, że bardzo wielu innych ludzi.

Artur Kłus: Jej Nazwisko?

Janusz Ramotowski: Słucham?

Artur Kłus: Jej Nazwisko?

Janusz Ramotowski: Ona była z domu Koff. Jej rodzice byli Alzakami obydwój. Wyszła za Pana Zielińskiego i jak mu na imię, kurczę. Wiedziałem.

Artur Kłus: Zielińskiego?

Janusz Ramotowski: Zieliński. Ona została już Luizą Zielińską. Chyba nikt nie przypuszczał, że tak naprawdę to jest urodzona Alzaczka. Ona po polsku mówiła bez najmniejszej naleciałości, bez żadnego śladu obcego akcentu.

Artur Kłus: Czy warto było się poświęcić?

Janusz Ramotowski: To chyba nie tak idzie. Czy warto, to też nie tak idzie, bo co znaczy warto, co znaczy poświęcić? Wydaje mi się, że jeżeli dzieją się rzeczy złe, to należy im się przeciwstawiać. Należy próbować to zmienić. Mogę słuchać argumentacji ludzi, którzy w okresie PRL-u byli po drugiej stronie. I też mi pokażą, przedstawią ileś dowodów, że ustrój, który mieliśmy wtedy, też był dobry, bo w jakichś fragmentach też był dobry, prawda? Natomiast dla mnie ten ustrój nie był ustrojem dobrym chyba, może chyba i głównie z powodu mojego ojca. Ja już urodziłem się opozycjonistą. Ja się urodziłem 28 lipca 1950 roku. Ojciec zaczął się ukrywać ponownie w nocy z 31 na 1 stycznia 1950/1951. Ja ojca nie widziałem na oczy swoje. Zobaczyłem go, jak miałem 5 lat, 5 lat i więcej. Już wtedy, kiedy mieszkaliśmy w Rawie u ciotki, kiedy tam przyjeżdżali ubowcy, którzy się dopytywali, czy nie było przypadkiem takiego wujka z rudą głową, to był major Bruzda, który się ukrywał. Był rudy. Wtedy wiedziałem, że to są źli ludzie i nie wolno z nimi rozmawiać. Ale oni mieli cukierki i brali mnie na kolana. Te cukierki dawali i o tego wujka mnie tam dopytywali. Wtedy przełamałem się po raz pierwszy, że musiałem coś z tym zrobić, więc zsunąłem się z kolan i spuściłem na nich sukę Azę. Poszczułem ich. Pierwszy czyn antypaństwowy w moim życiu. Później wyjście ojca, Ci wszyscy jego koledzy, tamte jego wspominki, to wszystko razem, dla mnie tamten ustrój był zły, ponieważ przy okazji mój ojciec pochodził z terenów, powiedzmy, wschodnich, łomżyńskie to już jest w tej chwili zupełny wschód Polski, wtedy może jeszcze nie bardzo, ale teraz już. Kiedy oni przeżyli również, rodzice przeżyli również okres wejścia pierwszych Ruskich, jak to się tam mówi, pierwsze Ruskie, drugie Ruskie, wejście pierwszych Ruskich, więc dla mnie było oczywiste, że ten ustrój jest zły. Ten mój cudowny wybryk jako dziecięcia to jest normalne. Później w przedszkolu się biłem z jakimś chłopakiem, który powiedział, że mój ojciec to jest złodziej, bo siedzi w więzieniu. Więc żeśmy się tam strasznie tłukli. Już w dzieciństwie to szło wszystko w tamtą stronę. I w tamtą stronę szukało się złych cech tego ustroju, tego, co było złe. Jak poszedłem do technikum, byłem politycznie ukształtowany jako przeciwnik tego, co mieliśmy. Skończyło się to na awanturach, na wychowaniu obywatelskim. Ja wylatywałem za drzwi w 5 minut po rozpoczęciu lekcji systematycznie. Systematycznie. Maturę zdałem tylko dzięki rozsądnej bardzo interwencji nauczyciela przysposobienia obronnego, który, jak się okazało, też był z tych deportowanych i później przyszedł z 1. Armią itd. W każdym razie było to dla mnie jasne. Mnie się ten ustrój nie podobał i uważałem, że on jest zły. Wszyscy chyba wtedy zresztą spoglądali na Zachód jako to miejsce cudownego życia i samych cudowności. Więc ja tak samo. Ja siedzę w czymś, co jest zupełnie byle jakie i niedobre. Mało tego, ponieważ tam powarkiwaliśmy, to od czasu do czasu dostawałem za to po łapach, co jeszcze bardziej mi urzędowywało, że ten ustrój jest zły, bo się tu mnie czepia, więc należy go zmieniać. Zmieniałem go jako tam jakiś dorastający człowiek. W którymś momencie znalazłem się w jakiejś tam dorosłej opozycji cały czas z jedną myślą: ten ustrój trzeba zmienić. Do wojska nie poszedłem tylko z jednego powodu. Nie mogłem pójść do wojska z 2 powodów. Pójść do wojska, które uznało mojego ojca za bandytę, chociaż był oficerem Armii Krajowej. Nie mogłem pójść do wojska, myśląc o tym, że któregoś razu ja miałbym celować broń w kierunku tych ludzi z Zachodu. Kierować ją na Zachód. Raczej bym się odwrócił i raczej bym zaczął celować w kierunku tych ze Wschodu. Albo tych, którzy mnie do tego pchają, żeby tam tych strzelać, więc lepiej było nie iść w ogóle. W związku z tym tak jak umiałem, próbowałem to zmieniać. I co? Udało się. Ja nie powiem, że to, co żeśmy

zbudowali w tej chwili, jest ustrojem moich marzeń, jeśli chodzi o ten kraj. Natomiast w dalszym ciągu to, co było przedtem, było złe. A złe należy zwalczać. I próbowałem to robić w sposób czynny. Co się opłaca, a co się nie opłaca? Ja nie przypuszczam, żeby ktokolwiek z ludzi angażujących się w działalność opozycyjną, a później w Podziemie myślał o tym, jak mu to się kiedyś opłaci. Bo to były takie czasy, że się w ogóle o tym opłacaniu, to tak jak ja wiem o czym, to może sobie o różnych rzeczach opowiadać, co to będzie, jak np. o moim szczęśliwym pobycie w niebie. To nie był temat. W związku z tym jeżeli chodzi o stronę materialną, to moje życie materialne nigdy nie potrzebowało Podziemia czy też, powiedzmy, opozycji. Nie ma takiej potrzeby. Opłacało się, ponieważ to było złe. Ja nie będę w tej chwili krzyczał, że akurat ekipa, która jest u władzy, mi się bardzo nie podoba i że ma ciągotki, żeby przywrócić to, co było. Jest to moje spojrzenie na sprawę, mam do niego pełne prawo. Natomiast tamtych już nie ma. Oni już w tej postaci nie wrócą. I tyle, nie? A nic nie jest dane wiecznie. To jest mój największy zawód. Mnie się wydawało, że potrafimy, że ludzie się tak zmienili, to wspaniałe zwycięstwo, te sukcesy diabli wiedzące jeszcze, że to zmieniło psychikę ludzi. Psychika ludzka się nie zmienia przez tysiące lat, pozostaje taka sama. No i koniec. Teraz czy ja mam rację? Ja mam swoją rację. To jest mój sposób myślenia i mam do tego prawo. I mam nadzieję, że mam prawo o tym mówić. Bo kiedyś, w 1969 roku, usłyszałem: „A myśleć to wy sobie możecie wszystko, co chcecie, ale mówić to wam nie wolno”. Tak mi powiedział przesłuchujący mnie ówczesny ubek. I tyle. Że to nie powstało to państwo szczęśliwości wiecznej, które gdzieś mi się tam w głowie marzyło, to nie powstało. Jest inne państwo. Nie jest dla mnie państwem szczęśliwości wiecznej to, co mamy. Bardzo się boję, szczególnie jeżeli chodzi o naszą przyszłość w Unii Europejskiej. Tego się boję cholernie. Z mojego punktu widzenia to jest zupełnie obojętne. Ja mam polski dowód osobisty, mam francuski dowód osobisty. Ja wjadę i wyjadę zawsze bez żadnych kłopotów. Natomiast źle by było, żeby ludzie znowu choćby musieli występować o wizy, żeby wjechać sobie do jakiegoś kraju. Powinni się związać, to się nie dzieje, ale to jest mój punkt widzenia. Mój sąsiad mieszkający tutaj widzi to zupełnie inaczej. No i co? No siedzimy sobie, przepijamy. Czy się próbujemy przekonać? Chyba nawet nie, bo to przecież sensu nie ma. Możemy sobie o tym pogadać i jest miło, jest bardzo dobrze, jeżeli w ogóle możemy sobie o tym rozmawiać, a nie dostaje się takiej natychmiast furii, diabli wiedzą czego. Dlatego mi się lepiej żyje we Francji, ponieważ nikt nie pyta mnie, a tym bardziej nie wymusza poglądów politycznych. We Francji nie ma obyczaju opowiadać, na kogo się będzie głosować. Rozmawiamy. Rozmawialiśmy w pracy, rozmawiamy o polityce, rozmawiamy o wyborach, mówimy nasze opinie o kandydatach, ale tu się odbywa na zasadzie luźne rozmowy, natomiast nikt nie wymusza, a osoby stojące troszkę z boku to w ogóle o tym nie wiedzą. W którymś momencie któryś z moich z szefów przy których wyborach nie wytrzymał i zadał mi pytanie: „A pan, panie Ramotowski”, przez nos tak mówił, „to na kogo będzie głosował?”. „No wie Pan, ja jako stary socjoł oczywiście na socjalistów”. „Tak? Pan na socjalistów? A ja myślałem, że pan będzie głosował na de Villepin”. To jest taka partia prawie że rojalistyczna. Dlaczego? Bo herbowy jestem. Ale to jeden człowiek o to zapytał. Mało tego, nie miało to żadnego wpływu na i tak złe stosunki między nami. O. I to tak jest. Czy w związku z tym żałuję, że wyjechałem z Polski? Nie. Nie żałuję. Jeszcze bardziej żałuję, że nie dałem się namówić na te szybkie powroty w 1989 r. Takie możliwości istniały. Pewnie by coś z tego wyszło, przynajmniej na czas jakiś, ale na czas jakiś, jak się ktoś nie umie załapać, to się już ładnie ciągnie dalej. Natomiast ja odmówiłem, powiedziałem, że nie. I miałem rację. Wolę patrzeć na to z boku. Kiedyś myślało mi się, marzyło mi się, że będę mógł tak ze wszystkimi, bo ja tak troszkę z boku, to nie jestem potencjalnym przeciwnikiem, nie jestem potencjalnym sojusznikiem. I ja tak będę mógł ze wszystkimi, dopóki nie zrozumiałem, że bez jasnej deklaracji tutaj to się nie istnieje. No nie no, przecież po to to opowiadamy. Jeden z naszych zespołów, „Waldeczki”, taka grupa ulotkowa, raz do roku urządza sobie

spotkanie takie przedwielkanocne. Byłem w Warszawie akurat w tym czasie i to był rok, teraz zależy, jak należy powiedzieć, zamachu smoleńskiego albo, powiem, katastrofy smoleńskiej. Już teraz mamy wojnę w 2 strony. W każdym razie byłem akurat w tym momencie w Polsce. I mówią mi chłopcy, żeby przyjść na to ich spotkanie. Przyszedłem na spotkanie. Jest oczywiście pite, jak to obyczaj każe. W którymś momencie któryś z tych ludzi mówi: „Mam nadzieję, że nie ma wśród nas zwolenników Platformy Obywatelskiej”. Co ja mam zrobić? Albo położyć uszy po sobie, mogłem nie słyszeć, ale ktoś zadaje to pytanie, to chyba żąda odpowiedzi, więc podniosłem rączkę, mówię: „Ja”. Zagulgotało na tej sali w sposób okropny. Okropnie zagulgotało. Podzieliła się na 2 obozy. Jeden radykalny: należy mu dokopać. Drugi bardziej ugodowy: nie będziemy z nim pili. Wyjść nie mogę w tym momencie, bo jak ja wyjdę w czasie ich narad, bo oni radzili, jak to rozstrzygnąć, to tak jakbym uciekł. Więc siedzę i czekam na werdykt, dla pewności coś tam sobie nalewając do kieliszka. Wreszcie decyzja została podjęta. Delegacja w postaci 3 rycerzy przyszła do mnie, mówi: „Słuchaj, byłeś...”, to dosłownie powtarzam, chłopcy jakby to odsłuchiwali, mogą tylko powtórzyć, mają obowiązek... „byłeś naszym dowódcą, w związku z tym będziemy z tobą pili”. Wzruszyłem się nawet bardzo. Nie traktowałem tego jeszcze, znaczy do dzisiaj nie. W każdym razie oczywiście tam już dalej nie było dyskusji, czy jest tutaj jakaś czarna owca taka jak ja. Wszystko było w porządku, ale to są takie rzeczy. Jechałem kiedyś do Staszka Węglarza do Lublina. Mój szef związkowy z CFTC mówił: „Jedziesz do Polski, słuchaj, ja mam list do Staszka Węglarza, bo oni tam u nas byli. List trzeba przekazać osobiście, bo to są zawarte treści, rzeczy”. No dobrze. Przyjechałem do Polski, dzwonię, Staszek jeszcze wtedy był posłem na Sejm. Był w Warszawie. „Cześć, Staszku, słuchaj, mam list do ciebie od Fabio, to muszę Ci go jakoś przekazać”. „Dobra, ale to wiesz, już nie w Warszawie, bo ja już wyjeżdżam, to będę w Lublinie. Na kogo będziesz głosował?” To wtedy był Wałęsa, Mazowiecki, było coś takiego. Tak?

Artur Kłus: Na wybory prezydenckie.

Janusz Ramotowski: Wałęsa, Mazowiecki, tak. „Na kogo będziesz głosował?” Nie, nie, to tutaj by nie było dyskusji, wszystko by grało przecież między nami, między mną a Staszkiem. „Staszku, ja przyjeżdżam jako przedstawiciel bratniego Związku Zawodowego. I mój szef zabronił mi zabierać zdanie w sprawach politycznych w Polsce. W związku z tym wybaczone, ale ja, przedstawiciel CFTC, nie mogę ci na to pytanie odpowiedzieć”. „No dobra, dobra, ale na kogo będziesz głosował?” Mówię: „Na Mazowieckiego”. „No tak, no. Szanujemy poglądy innych”. Czyli spotkanie było tak czy inaczej może aż nadsympatyczne tam później w tym Lublinie, ale od razu deklaracja. Staszek wtedy tam, były takie zdjęcia z jakąś taką siekierką, z tym Wałęsą tam, Wałęsa bez siekierki, Staszek z jakąś taką siekierką, coś tam. Jakies takie rzeczy, dlatego mi się żyje spokojnie i tam po prostu. Z czego się cieszę, bo tutaj narazić się komuś jest błyskawicą. Znaczy mi to tam wisi i powiewa. Ale fakt pozostaje faktem, że urwałem całą masę kontaktów, ponieważ się źle czuję, jak pies, który stoi po drugiej stronie płota i ujada na psa, który jest po tamtej stronie płotu. Jeżeli nie możemy rozmawiać, a musimy ujadać, to mnie po prostu szkoda czasu. I szkoda wspólnych wspomnień z tamtych czasów. Więc to jest odpowiedź na to, jak ja odbieram, czy warto było. Warto było, nie udało nam się zbudować czegoś takiego jak tego wspaniałego państwa, w którym wszyscy się miłują i wszyscy razem swój dobrobyt rozdają innym. Wszyscy jesteśmy w dobrobycie, ale myślę, że byłem głupi i naiwny, myśląc, że coś takiego istnieć może.

Artur Kłus: Panie Januszu, jeszcze przypomniła mi się jedna rzecz, jakby Pan powiedział, skąd ta lampa?

Janusz Ramotowski: Lampa jest pamiątką po Pani Luizie. W momencie, kiedy Pani Luiza nam odeszła, ten dom, jak wszystkie domy, był opróżniany i dzieci, i synowie mieszkają przecież na swoim osobno. W związku z tym należy go opróżnić. Tam przyjeżdżali, jakaś grupka ludzi się zjawiała, rodzina, jakaś grupka ludzi, co się komu podoba. Pewnie by nam się tam podobało jeszcze parę innych rzeczy. Ale dobra, my zrobimy ten symbol, więc padło na tę lampkę, bo my te lampy lubimy zbierać. W związku z tym jest lampa po Pani Luizie. Co się nie stanie, tak jak Raúla nie zapomnę, widząc ten krzyż lotaryński, nie mogę zapomnieć o Pani Luizie, zapalając tę lampkę.